

Andrzej Janczewski

# Gra w szarozielone dla początkujących



Andrzej Janczewski

**GRA W SZAROZIELONE**

**DLA POCZĄTKUJĄCYCH**

© Copyright by  
Andrzej Janczewski & e-bookowo  
Zdjęcia na okładce: archiwum Autora  
Projekt okładki:  
e-bookowo

ISBN ebook 978-83-7859-155-9  
ISBN druk 978-83-7859-166-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

# PRZEDWIOŚNIE



*Cicho wszędzie, czarno wszędzie, co to będzie, co to...*

Krótko po tym, gdy opuścił nas towarzysz Wissario-nowicz, dla przyjaciół Soso (co usta miał słodsze od ma-lin), nastąpił przełom lat pięćdziesiątych, a wraz z nim, choć niemrawo, nadeszła długo oczekiwana odwilż. Nie miałem wówczas o tym zielonego pojęcia, bo polityka nie zajmowała mnie w najmniejszym stopniu. Jednak trudno wykluczyć, że niezrażona bynajmniej tym faktem polityka cichcem zajmowała się mną, aczkolwiek z mojej per-spektywy przejawiało się to jedynie imprezami w rodzaju „Mam dziesięć lat, tyle co Polska Ludowa”, urządzanymi od wielkiego święta. Z programem, który zazwyczaj ogra-niczał się do występów iluzjonistów, zonglerów i clownów.

Byłem niezbyt wysokim chudzielcem, który patrząc na otaczającą rzeczywistość ufnymi oczami małolata rósł w przekonaniu, że moje pokolenie wywodzące się ze śro-dowiska zwykłych ludzi, żyje sobie skromnie, ale spokojnie i w miarę szczęśliwie. Poczucie to wynikało pewnie z tej prostej przyczyny, że nie wymagaliśmy od życia za wiele. Stąd nasze powszednie nieszczęścia nie wydawały się zbyt dotkliwe. Ten nieco odmienny – w stosunku do dzisiejszych czasów – punkt widzenia mógłby zilustrować ot, choćby taki drobny przykład. Na swoją pierwszą ko-munię dostałem aluminiowy medalik i książkę pt. Pino-kio. Podobno miała ładną, kolorową okładkę, ale w trak-cie podróży chrestnych z Poznania załała się jakimś zielonym, śmierdzącym lekarstwem ze źle zakorkowanej butelki. I przestała być kolorowa, zaś nadzwyczaj trwa-ły zapaszek tego świństwa sprawił, że od Pinokia zawsze trzymałem się z daleka. Ale czyż można porównać mojego pecha z dramatem współczesnego dziewięciolatka, które-mu takie lekarstwo rozlałoby się na klawiaturę nowiutkie-go, komunijnego laptopa?

Od paru lat mieszkałem w centrum dzielnicy, której nie opiewali w swoich wierszach poeci. Jej uroków nie sławiły też dzieła mistrzów pejzażu. Był to ponury, warszawski Grochów.

Rodziny znanych mi równolatków gnieździły się w zagęszczonych mieszkaniach starych, przedwojennych kamienic oraz w początkowo nielicznych, lecz szybko rozrastających się wokół topornych osiedlach z rozbiórkowej cegły. Mieszkałem w jednym z pierwszych bloków, z widokiem na niewielką, posępną jak obraz Beksińskiego manufakturę. Jej zdezelowany, żelazny komin, a zwłaszcza bezustannie buchający z niego ogień, niezwykle inspirująco wpływał na scenariusze nawiedzających mnie po nocach snów.

W ciemnych, wybrukowanych kocimi łbami uliczkach, tu i ówdzie wciąż jeszcze straszły ruiny spalonych w latach wojny domów i kolonie drewnianych, rozpadających się ze starości baraków. Zaludniali je pospołu porządni, spracowani obywatele i zalegający w ciemnych kątach margines. Nawet wśród przedstawicieli mojego pokolenia panowała spora różnorodność. Bywało, że do grona moich kumpli należał Wojtek, przyjemniaczek zakwaterowany w dziupli na piętrze stuletniej piekarni u wylotu Wiatracznej, co wdawał się w najdziksze awantury i nawet przy matce kłął jak szewc, a potem został księdzem, a także Zbyszek, sąsiad z porządnej rodziny, który powszechnie uchodził za wzór dobrego wychowania. Do czasu, gdy pewnego dnia w trakcie wakacji porąbał siekierą swoją babcie na kawałki i wrzucił do studni. Bo choć miał już piętnaście lat, nie dawała mu się spotykać z miejscową dziewczyną. Byli biedacy, jak Ewka z czwartej klatki, która każdemu

## PIERWSZA MIŁOŚĆ

Ktoś zasadniczy i niezbyt życzliwy mógłby mi zarzucić, że już wspomniany przykład chemii wystarczy, by ocenić, że moje zainteresowania były dość powierzchowne i epizodyczne. Jednak taka diagnoza byłaby pochozna i niesprawiedliwa – żeby nie powiedzieć krzywdząca. Niektóre z nich były trwałe nad wyraz i to już od lat najmłodszych.

Oto przykład pierwszy z brzegu: zamiłowania przyrodnicze – dziedziną, w której moją uwagę szczególnie przyciągały osobniki żeńskie. A zwłaszcza niektóre z nich. Czasem nawet śniły mi się tak jakoś... Lubilem te sny. Ale zawsze potem wydawało mi się, że katechetka na lekcji religii spogląda na mnie jeszcze bardziej srogim wzrokiem niż zwykle. To chyba jednak nie było możliwe, bo jej oczy z zasady nie promieniowały miłosierdziem nic a nic, zaś malowana przez nią wizja dobroci boskiej była tak zachęcająca, że często wieczorami bałem się zasnąć, by nie zapnąć w sen wieczny i nie zaznać jej zbyt wcześnie. Taki lęk może odczuwać każdy, kto ma jeszcze w pamięci czwartą zwrotkę „Kiedy ranne wstają zorze”.

W ramach obserwacji otaczającej mnie przyrody, wybrane obiekty poddawałem różnym wyrafinowanym eksperymentom, próbując na przerwach podstawić im nogę, walnąć workiem na kapie, czy wrzucić za kołnierz robala.

Pewne podstawy teoretyczne tej gałęzi wiedzy zapewniła mi Organizacja Harcerska, do której należał wówczas każdy uczeń. No chyba, że ktoś bardzo, bardzo nie chciał, ale jakoś nie przypominam sobie nikogo takiego. Widocznie wszyscy chcieli. Symbolem owej przynależności była czerwona chusta. Czerwona – bo na niej robotnicza krew. Chusta miała trzy rogi: dwa węższe symbolizowały Organizację Harcerską i Związek Młodzieży Polskiej, zaś szeroki – ma się rozumieć – Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Nosili ją na co dzień wszyscy uczniowie. W ten sposób Organizacja Harcerska realizowała w praktyce propagowane przez nią hasła egalitaryzmu, ponieważ bijąca w oczy, płomienna czerwień chusty w tym samym stopniu przysłaśniała zarówno eleganckie, uszyte z granatowej podszewki fartuszki szkolne zamożniejszych uczniów, jak i stare, powycierane swetry biedoty.

Głównym zadaniem programowym OH było wbijanie nam do łepetyn gruntownej wiedzy z historii ruchu robotniczego na przykładzie świetlanych życiorysów jego czołowych przedstawicieli. W tym celu raz w tygodniu po lekcjach odbywały się zbiórki. Ale jak to w Polsce, idee bywają szczytne, lecz zawsze nawala wykonawstwo. Niestety. Trzeba to powiedzieć jasno i pryncypialnie: szkolenie w temacie tych życiorysów powierzono niewłaściwej osobie.

Była nią młoda druhna, dość ładna i miła dziewczyna, która nad realizację programu przedkładała streszczanie nam obejrzanych ostatnio filmów. Oczywiście takich, których jako małolaty nie mogliśmy zobaczyć sami. Siadała na blacie ławki, przodem do klasy, prezentując w ten sposób swoje zgrabne nogi, a jej oczy robiły się maślane. I opowiadała je – filmy rzecz jasna – barwnie i szczegółowo, nie



pomijając żadnych, nawet niezbyt istotnych detali. Więc w zasadzie też uczyła nas życia, może akurat nie Juliana Marchlewskiego, czy Marcelego Nowotki, ale zawsze.

Trwało to prawie dwa lata, przed pamiętnym rokiem 1956-tym, a dokładnie do październikowego, pełnego emocji wiecu na Placu Defilad, gdzie nadciągający ze wsząd – w gwiazdzistych pochodach – lud pracujący stolicy, powitał gromkim „sto lat, sto lat...” świeżo upieczzonego pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, towarzysza Władysława Gomułkę. Deklarował on sprawiedliwe rozliczenie okresu „błędów i wypaczeń” oraz „odwilż” w polityce i kulturze. A reakcją kilkuset tysięcy zgromadzonych na wiecu „towarzyszy i obywateli” (tak w swych mowach do narodu Gomułka zaczynał prawie każdy wątek), była sięgająca zenitu euforia, która zatrzęsła murami Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Tak mocno, że aż postradał swojego patrona.

A w wyniku obiecanych rozliczeń Organizacja Harcerska przepadła bez śladu, zaś w jej miejsce powstał Związek Harcerstwa Polskiego.

Zamiast hymnu:

*Naprzód młodzieży świata  
Nasz braterski połączył dziś marsz...*

pojawiła się śpiewana na całe gardło piosenka:

*Gdzie strumyk płynie zwolna  
Rozsiewa ziola maj  
Stokrotka rosła polna  
A nad nią szumiał gaj...*

Na zbiórkach zazieleniły się harcerskie mundurki. Zdobily je teraz krzyże, lilijki i różnokolorowe, oznaczające harcerskie dystynkcje sznury, a chusty nie musiały już być koniecznie czerwone. I raczej nie były. Zaczęły się biwaki, nocne podchody i zdobywanie sprawności, zaś w kioskach można było kupić nowy, pełen harcerskich gier i zabaw tygodnik *Na Przełaj*. A istniejąca już wcześniej gazeta *Świat Młodych* przestała się wreszcie zajmować propagowaniem powszechnej uprawy kukurydzy, na rzecz akcji organizowania młodocianych ekspedycji międzyplanetarnych. Jedną z owych kosmicznych załóg utworzyłem ja, wspólnie z moim kumplem Wojtkiem P. Niestety nasza aktywność ograniczyła się do śledzenia losów konkurencyjnej ekipy Tytusa, Romka i Atomka z komiksu zamieszczonego w kolejnych numerach *ŚM*.

Ale wraz z *OH* znikła też nasza nieoceniona drużyna. Mając już jednak wpojone przez nią podstawy uznałem, że przyszedł czas na nieco bliższe kontakty z przyrodą. I w piątej klasie umówiłem się na pierwszą w życiu randkę. Z Marzenką B. Niestety, oceniając to z dzisiejszej perspektywy czuję, że chyba nie zachowałem się wówczas najlepiej.

Poszliśmy do kina 1 Maj.

Było to duże, nowoczesne kino na Podskarbińskiej, w sąsiedztwie skwerku Hanki Sawickiej, gdzie za parę groszy spędzało się na porankach niedzielne przedpołudnia. Powszechnie uchodziło ono za prawdziwą świątynię sztuki – zwłaszcza w porównaniu ze ścianą starej kamienicy przy rondzie *Wiatraczna*, na której parę lat wcześniej wymalowany został biały ekran. Tam wieczorami,

z wojskowej ciężarówki, wyświetlano kroniki filmowe, a ludziska tłumnie oglądali te cuda zadzierając głowy.

Na miejscu okazało się, że mamy pecha, bo jedno z krzeseł – i to właśnie moje akurat – chwiało się, miało wyłamanie oparcie i w ogóle ledwo trzymało się kupy. Ale o dziwo Marzenka stwierdziła, że to nic, że ona chętnie na nim usiądzie. No to ja, hm... no jednym słowem, zgodziłem się. Skoro nalegała...

Tak. Teraz sobie myślę, że te początki nadzwyczajne chyba nie były. Być może ktoś o szczególnie subtelnej naturze, mógłby mieć pewne obiekcje.

Istotne postępy zrobiłem już w klasie szóstej.

W tym czasie bardzo modny był „Flirt towarzyski”, drukowany w nadzwyczaj popularnym wówczas tygodniku Przekrój. Wspaniały wynalazek – coś w rodzaju talii kart, na których umieszczone były pytania i odpowiedzi w stylu:

1. *Co ci podpowiada twoje serce najdroższa?*
  2. *Duchowi memu dała w pysk i poszła... (Fantazy)*
  3. *Całuję twoją dłoń madame...*
  4. *Gdybym był młodszy dziewczyno, gdybym był młodszy... (Asnyk)*
  5. *Kocham cię, bądź moja na wieki!*
- ... i tak dalej, i tak dalej.

Wystarczyło podać partnerce odpowiednią kartę, oraz wymienić numer pozycji i już największa oferma, umiejąca sylabizować za ledwie, mogła uchodzić za lwa salonowego. Cała nasza klasa po lekcjach zostawała w szkole i namiętnie uprawiała ów gatunek flirtu. W ten sposób

## WIELKIE PIJAŃSTWO

Nadchodził już wieczór. Był bezwietrzny i ciepły, jak wszystkie wieczory tego lata w Jastrzębiej.

Tym razem postanowiliśmy spędzić go wspólnie w barze „Perła” opodal city, kawałek szosą w stronę Władysławowa. Przyszedł czas, by scementować jakoś tegoroczną, wakacyjną kompanię. Oprócz naszego tercetu z Grochowa, należało do niej kilku rozrywkowych wrocławiaków, rezolutne lublinianki oraz Ela, sympatyczna dziewczyna z warszawskiego Gocławka, która z odległości rzutu beretem (przy wietrze umiarkowanym) wyglądała, nie przy mierzając, jak Brigitte Bardot. Noce spędzaliśmy w porozrzuconych tu i ówdzie namiotach, a dnię – we wspólnym grajdole na plaży.

Knajpa o dziwo była dość pusta, więc bez problemu zsunęliśmy stoliki i zamówiliśmy kilka połówek czystej.

Rozlaliśmy.

– No to chłopcy i wy baby też. Najlepszego! – wrzasnąłem.

Poleciało gładko.

– Lej! Powtarzamy! – ryknął któryś.

– Za naszą młodość durną i chmurną!

– Do dna dziewczyny, do dna! Co jest Ela, nieładnie tak

oszukiwać!

– Co wy chłopaki – ja to dziś mam zamiar się porządnie upić!

– Kto zna bajkę o morzu, panterze i mielźnie?

– No dawaj!

– Może pan tera mie liźnie.

– He, he, he, niezłe, he, he.

– A o pałacyku i latarence?...

Picie szło ostro. Za oknami zapadał już zmierzch, gdy atmosfera zaczęła nieco przygasać.

– Zdrada rodacy, ktoś nam wypił wódeczkę!

– To skocz no jeszcze po litra! Albo dwa!

– Hej! Składka – dawać forszę chłopaki!

– Załóż za mnie, jutro oddaję, słowo.

– I weź coś na zagrychę!

– Nic tu nie ma cholera!

– Kup co jest...

Odszedłem od stolika. Trzeba trochę rozprostować kości. Stanąłem w korytarzu przed lustrem. Wciąż widać mnie było dobrze. Każdy szczegół. Kurde – myślę – jeszcze w życiu nie byłem porządnie pijany. Przypomniała mi się butelka miodu, ściślej – trójniaka, wypitego na koloniach w Łukęcinie. Pomyśleć, co się na tych koloniach wyprawiało... Miałem chyba dwanaście lat, najwyżej trzynaście, ale pani sklepowa z pobliskiego GS-u bez mrugnięcia okiem zainkasowała trzydzieści złociszów za pękata flaszkę. Wypiliśmy ją z kumplem na spółkę. Miód smakował mi jak diabli. Słodziuteńki, niebo w gębie. Sam nie wiem, czy się wtedy upiłem, bo akurat – jak to na koloniach – zaczynała się poobiednia cisza, na której nikt nigdy nie chciał spać, ale ja zasnąłem jak kamień. Na podwieczorek nie można mnie było dobudzić. Ostatecznie jednak zwlokłem

się z łóżka i proszę – obyło się bez żadnych konsekwencji. Zamierzchłe czasy.... A ile to ja właściwie mam lat? Pewnie będzie z osiemnaście. To nie ma na co czekać, dopiję jeszcze ćwiartkę i zobaczymy co dalej.

Wróciłem na salę.

Lecz na stole stały tylko puste butelki. Niektórzy zbierali się już do wyjścia. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno.

– Co jest, wychodzicie? – zaczepiłem kilku – ja bym się jeszcze napił. Kto robi ze mną pół litra na spółę? Ej! Słyszycie? – wydarłem się na całą salę.

Zgłosił się jeden z wrocławiaków.

– Dobra stary, chodź do bufetu.

– Ale szybko, bo zamykają! – zauważyłem rzeczowo.

– Nie ma sprawy, wypijemy w krzakach.

Kupiliśmy połówkę. Wyszliśmy przed knajpę. Byłem obrzydliwie trzeźwy.

– No, otwieraj brachu – ponagliłem gościa.

– Pij pierwszy – podał mi flachę.

– To nasze...

Wypiłem z gwinta do połowy.

– Masz, dokończ.

Opróżnił butelkę do dna i rzucił ją w krzaki.

Spojrzałem przed siebie i nagle zrobiło mi się niedobrze. Złapałem się gałęzi i puściłem sporego pawia.

– Marnujesz wódeczkę człowieku – mruknął wrocławiak z dezaprobatą.

– Cholera – wybełkotałem – mam dość.

Zatoczyłem się lekko. Rany, chyba jestem trochę pijany. Widzę jakoś krzywo, ale myślę jeszcze jak trzeźwa świnia.

– Ty! Gdzie reszta? – zatroszczyłem się o pozostałych.

– Tam – pokazał mi na jakąś ledwo widoczną, bezkształtną kupę pełzającą na kolanach po szosie.

Podszedłem do nich sztywno.

– Co jest panowie, co wam odbiło?

– Eee nic, Edi zgubił okulary, gdzieś tu pewnie...

– Chłopaki, uwaga – zaniepokoiłem się przytomnie – coś może jechać i po nas!

– O! Tu! Są! Są! Chyba całe!

Nie od razu udało nam się pozbiierać i opuścić szosę. Na szczęście nic nie przejeżdżało. Szliśmy grupkami mijając city. Podbiegła do mnie Ela i złapała mnie za rękę.

– Andrzej, muszę ci się przyznać.

– Co cholera.

– Ja oszukiwałam, ja mam niecałe siedemnaście lat, a nie osiemnaście.

– Dobra, co tam...

– I w ogóle, to jeszcze mam tę... no... cnotę.

– Y?

– Cnotę. Mam jeszcze.

– No i OK. Ela, jesteś fajna ba...beczka, w końcu się z tego wyleczysz. Nie martw się.

Znikła gdzieś nagle. Rozejrzałem się. Byłem pod ośrodkiem „Bałtyk”. Na górnym tarasie urzędowała czwórka koleśki z Żoliborza. Zawsze razem i trochę z boku reszty towarzystwa.

Poszedłem do nich.

– Ale żeś się ubzdryngolił chłopie! – zauważył któryś z najwyższym uznaniem.

Grali w brydża, jak zwykle identycznie ubrani. Każdy we flanelowej koszuli w kratę i drelichowych spodniach khaki wiszących na wąskich, bordowych szelkach. Te portki – szyte osobiście przez jednego z nich – obowiązko-

wo musiały się zaczynać (lub kończyć, zależnie od punktu widzenia) dziesięć centymetrów pod pępkiem.

Postałem chwilę, bezmyślnie wpatrując się w stół z kartami i znów zrobiło mi się niedobrze. Przewiesiłem się przez balustradę tarasu i ulżyłem sobie ponownie.

– Ty, uważaj bo sfruniesz na parter.

– Rany, przedobrzyłem. Uch. N...nie widzieliście chłopaków?

– Są przy namiocie.

– Aaa. To nara...

Powlokłem się do namiotu. Andrzejek leżał w środku i chrapał jak hipopotam. Piękny Włodzio stał tępo wpatrzony w ziemię i dzierżąc kurczowo linkę od masztu, kiwał się niebezpiecznie. Spojrzał na mnie spode łba.

– Idziemy nad morze – zdecydował stanowczo.

Też nie zamierzałem jeszcze spać. Poszliśmy. Te cholerne schodki na plażę nie chciały się skończyć. Nagle Włodzio potknął się o jakiś korzeń i zleciał na pysk aż na samą plażę. Nim zdążyłem jakoś zareagować, podniósł się sam i powłókł do brzegu. Nic mu nie było. Zatrzymał się, gdy fale sięgały mu już do kostek. Stałem za nim. Raptem zrobił parę kroków do przodu. Poczulem się odpowiedzialny za tego pijaka.

– Włodek, świń...ski ryju – ani kroku dalej, bo cię kopnę w dupę!

Nic nie odpowiadał, tylko kiwał się w przód i w tył. I nagle runął w wodę jak kłoda. Fale obmywały jego nieskazitelnie białe, żaglowe spodnie, jasnoniebieską koszulkę i złotą Doxę, która – choć z pewnością bezcenna – to wodoszczelna raczej nie była. Mijały minuty, a on wciąż leżał i leżał.

Wreszcie wygramolił się z wody i obydwaj, zataczając



# Spis treści

PROLOG	4
PRZEDWIOŚNIE	7
PIERWSZA MIŁOŚĆ	18
HALINKA Z ZALESIA GÓRNEGO	32
SZKOŁA	47
DWA LATA PÓŹNIEJ	62
SPORT TO ZDROWIE	72
ŁAZIENKI	82
ZABAWY I PRYWATKI	94
PÓŹNA JESIEŃ, WCZESNA JESIEŃ	102
DZIAŁKOWE DOBRODZIEJSTWA	113
TRAMWAJ NUMER 26	121
TERENY ŁOWIECKIE	132
FOTOPLASTYKON	150
WAGARY	155
NIECH ŻYWI NIE TRACĄ NADZIEI	164
AUTOSTOP	177
WAKACYJNA MIŁOŚĆ	191
UCIECZKA DO SZWECJI	201
WIELKIE PIJAŃSTWO	208
CREDO	217
STUDNIÓWKA	224